

JEFFREY ARCHER

ZŁODZIEJSKI HONOR



REBIS

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).

JEFFREY
ARCHER

ZŁODZIEJSKI
HONOR

Przekład
Andrzej Szulc



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

CZĘŚĆ PIERWSZA

„Ilekoć wskutek biegu wypadków...”

Nowy Jork,
15 lutego 1993

Antonio Cavalli nie spuszczał oczu z Araba, który jego zdaniem wydawał się zdecydowanie za młody na stanowisko zastępcy ambasadora.

– Sto milionów dolarów – powiedział powoli, wymawiając każde słowo z niemal nabożnym szacunkiem.

Hamid al-Obajdi przesunął między palcami kolejny paciorek różańca. Wydawany przez nie odgłos zaczynał irytować Cavallego.

– Sto milionów dolarów to kwota całkowicie do przyjęcia – odparł w nienagannej angielszczyźnie zastępca ambasadora.

Cavalli pokiwał głową. W tej transakcji niepokoił go tylko fakt, że Al-Obajdi wcale się nie targował. Wyglądało to tym bardziej podejrzanie, że suma zaproponowana przez Amerykanina przewyższała dwukrotnie tę, którą spodziewał się otrzymać. Bolesne doświadczenie nauczyło Cavallego, żeby nie ufać nikomu, kto się nie targuje. Oznaczało to na ogół, że kontrahent w ogóle nie ma zamiaru płacić.

– Jeśli wysokość kwoty została zaakceptowana – stwierdził – pozostało nam tylko ustalić, w jaki sposób i kiedy dokonane zostaną wpłaty.

Zastępca ambasadora przesunął między palcami kolejny paciorek różańca i pokiwał głową.

– Dziesięć milionów dolarów w gotówce natychmiast – zaproponował Cavalli. – Pozostałe dziewięćdziesiąt milionów przekazecie na konto w szwajcarskim banku bezpośrednio po zrealizowaniu kontraktu.

– Ale co otrzymam za te pierwsze dziesięć milionów? – zapytał zastępca ambasadora, wbijając wzrok w mężczyznę, którego pochodzenie równie trudno było ukryć jak jego własne.

– Nic – odparł Cavalli, chociaż musiał przyznać, że Arab miał wszelkie powody, by zadać to pytanie. W końcu gdyby umowa nie została dotrzymana, zastępca ambasadora mógłby stracić o wiele więcej niż tylko rządowe pieniądze.

Al-Obajdi przesunął kolejny paciorek różańca, wiedząc, że nie ma wielkiego wyboru – dopiero po dwóch latach zdołał się umówić na rozmowę z Antoniem Cavallim. Do Białego Domu wprowadził się tymczasem prezydent Clinton, a przywódca Al-Obajdiego pałał coraz większą żądzą zemsty. Zastępca ambasadora zdawał sobie sprawę, że jeśli nie przyjmie warunków Cavallego, szanse znalezienia kogoś, kto zdoła wykonać zadanie przed czwartym lipca, są równie duże jak trafienie zera w ruletce.

Cavalli spojrział na duży portret zawieszony za biurkiem zastępcy ambasadora. Al-Obajdi próbował się z nim skontaktować już w kilka dni po zakończeniu wojny w Zatoce. Odmówił Arabowi, jako że niewiele osób wierzyło wówczas, iż przywódca tego kraju dożyje czasu, kiedy uda się zorganizować wstępne spotkanie.

Ale miesiące mijały i Cavalli coraz bardziej był skłonny wierzyć, że jego potencjalny klient pozostanie u władzy dłużej od prezydenta Busha. W końcu więc spotkanie zostało zaaranżowane.

Doszło do niego w siedzibie zastępcy ambasadora w Nowym Jorku przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Mimo że trochę zbyt publiczne jak na gust Cavallego, miejsce to miało jedną poważną zaletę: uwiarygodniało kontrahenta, który zamierzał zainwestować sto milionów w tak niepewne przedsięwzięcie.

– W jaki sposób mamy wpłacić pierwsze dziesięć milionów? – zapytał Al-Obajdi, tak jakby omawiał z agentem nieruchomości kwestię zaliczki na mały domek po drugiej stronie mostu Brooklyńskiego.

– Cała suma musi zostać przekazana w używanych, nieznaczonych studolarowych banknotach i złożona u naszych bankierów w Newark w New Jersey – powiedział, mrużąc oczy, Amerykanin. – Nie muszę chyba przypominać panu, panie Obajdi, że mamy urzędnika, które są w stanie zweryfikować...

– Niech pana nie niepokoi, czy dotrzemy umowy – przerwał mu Al-Obajdi. – Te pieniądze są dla nas, jak

to wy na Zachodzie mawiacie, za ledwie kroplą w oceanie. Dla mnie o wiele istotniejsze jest to, czy zdołacie się wywiązać z zawartej dziś umowy.

– Nie starałby się pan tak usilnie o to spotkanie, gdyby nie wierzył pan, że potrafimy się z nich wywiązać – odparł Cavalli. – Czy ja mogę mieć podobną pewność, że uda się panu dostarczyć w tak krótkim czasie tak wysoką kwotę?

– Być może zainteresuje pana, panie Cavalli – powiedział zastępca ambasadora – że pieniądze te spoczywają już w sejfie w podziemiach gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Z pewnością nikt się nie spodziewa, że tak znaczna suma przechowywana jest w piwnicy zbankrutowanej instytucji.

Uśmiech, który ukazał się na obliczu Al-Obajdiego, wskazywał, że Araba ubawił jego własny dowcip. Cavalli zachował kamienny wyraz twarzy.

– Dziesięć milionów zostanie dostarczonych do pańskiego banku jutro w południe – stwierdził Al-Obajdi, wstając od stołu, aby dać do zrozumienia, że jeśli o niego chodzi, spotkanie uważa za zakończone. Wyciągnął dłoń, którą jego gość uściśnął z niezbyt wielkim entuzjazmem.

Cavalli rzucił jeszcze raz okiem na portret Saddama Husajna, po czym odwrócił się i szybko wyszedł.

Wchodzącego na salę wykładową Scotta Bradleya powitał cichy szmer podziwu.

Położył na stole swoje notatki, a potem omiół wzrokiem salę wykładową. Wypełniający ją po brzegi żądni wiedzy studenci trzymali uniesione w pogotowiu nad kartkami żółtego papieru długopisy i ołówki.

– Nazywam się Scott Bradley – oświadczył najmłodszy profesor w Yale Law School – i przedstawię teraz państwu pierwszy z czternastu wykładów na temat prawa konstytucyjnego.

Siedemdziesięciu czterech studentów utkwilo oczy w wysokim, trochę zaniedbanym mężczyźnie, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że brakuje mu guzika tuż pod kołnierzykiem przy koszuli, i nie potrafił się chyba tego ranka zdecydować, gdzie zrobić sobie przedziałek.

– Chciałbym rozpocząć ten pierwszy wykład od kwestii natury osobistej – oznajmił. Część słuchaczy odłożyła długopisy i ołówki. – Znamy wiele przyczyn, dla których można się w tym kraju zajmować prawem, ale tylko jedna z nich jest was godna i z całą pewnością tylko ta jedna mnie interesuje. Dotyczy ona każdego rodzaju prawa, który macie zamiar zgłębiać, i nigdy nie została wyrażona lepiej niż na spisanej na pergaminie Jednogłośnie Deklaracji Trzynastu Stanów Zjednoczonych Ameryki. „Uważamy następujące prawdy za oczywiste: że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami i że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście”¹. To jedno zdanie odróżnia Amerykę od każdego innego kraju na ziemi. Pod pewnymi względami nasz naród poczynił od roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego olbrzymie postępy – kontynuował, spacerując wokół katedry i obciążając co jakiś czas klapy wytartej tweedowej marynarki od Harrisa – pod innymi zaś gwałtownie się cofnęliśmy. Każdy z was może stanąć w szeregu twórców prawa lub tych, którzy to prawo łamią... – Zawiesił głos, mierząc przez chwilę surowym wzrokiem milczące audytorium. – Każdy z was otrzymał także największy dar, który pomoże mu dokonać właściwego wyboru, a mianowicie bystry, przenikliwy umysł. Kiedy ja i moi koledzy skończymy się wami zajmować, możecie wejść w realny świat i uznać, że Deklaracja Niepodległości nie jest warta więcej niż pergamin, na którym ją spisano, że jest nieaktualna i nie przystaje do czasów, w których żyjemy. Albo też możecie starać się przynieść pożytek społeczeństwu, służąc prawu. Ten właśnie kierunek obierają wielcy prawnicy. Żli prawnicy, a nie mam tutaj na myśli głupich, to ci, którzy zaczynają naginać prawo do swoich potrzeb. Moim zdaniem mało to się różni od jego łamania. Tych z was, którzy chcą obrać taki kierunek, informuję z góry, że niczego się tutaj nie nauczą, ponieważ są do tego organicznie niezdolni. Nie mogę im naturalnie zabronić uczęszczania na moje wykłady, ale też właśnie do „uczęszczania” będzie się sprowadzała cała ich działalność.

Na sali zrobiło się tak cicho, że Scott podniósł wzrok, aby sprawdzić, czy wszyscy słuchacze nie uciekli

przypadkiem na korytarz.

– To nie są moje słowa – powiedział, widząc wpatrzone w siebie twarze – ale dziekana Thomasa W. Swana, który wykładał w tej sali przez pierwsze dwadzieścia siedem lat tego stulecia. Uważam, że to istotne, by każdy rocznik rozpoczynający naukę w Yale Law School zapoznał się z jego poglądami.

Po raz pierwszy od wejścia na salę profesor otworzył leżące przed nim notatki.

– Logika – rozpoczął – jest nauką i sztuką poprawnego rozumowania. To nic innego jak zwykły zdrowy rozsądek, słyszę już głosy niektórych. A jednak nie ma na świecie niczego bardziej niezwykłego, przypomina nam Wolter. Właśnie ci ludzie, którzy domagają się głośno „zdrowego rozsądku”, często zaniedbują ćwiczenia własnego umysłu. „Prawo nie opiera się na logice, ale na doświadczeniu”, napisał kiedyś Oliver Wendell Holmes...

Pióra i ołówki zaczęły wściekle sunąć po żółtym papierze i nie odrywały się od niego przez całe pięćdziesiąt minut.

Na koniec Scott Bradley zebrał notatki, zamknął teczkę i wyszedł szybko z sali. Nie zamierzał wysłuchiwać długich, niemilkających oklasków, które od dziesięciu lat niezmiennie wieńczyły jego inauguracyjny wykład.

Hannah Kopec od samego początku uważano za autsajderkę, a także za osobę samotną i oczywiście tylko to ostatnie było uznawane przez jej zwierzchników za plus.

Powiedziano jej, że ma niewielkie szanse na przyjęcie do służby, ale przebyła już przecież najcięższy etap, dwunastomiesięczne szkolenie kondycyjne, i chociaż nigdy jeszcze nikogo nie zabiła – zrobiło to sześć z ośmiu kandydatek – jej zwierzchnicy wierzyli, że może być do tego zdolna. Hannah była o tym przekonana.

Kiedy startujący z lotniska Ben Guriona w Tel Awiwie samolot wziął kurs na Heathrow, Hannah po raz kolejny zadumała się nad tym wszystkim, co sprawiło, że robiąca olśniewającą karierę dwudziestopięcioletnia modelka, o której rękę starali się bogaci zalotnicy z kilkunastu stolic, uparła się, aby wstąpić do Instytutu Wywiadu i Zadań Specjalnych – znanego lepiej pod nazwą Mossad.

Podczas wojny w Zatoce na Tel Awiw i Hajfę spadło trzydzieści dziewięć pocisków Scud. Zginęło wtedy trzynaście osób. Pomimo wielu pogroźek rząd izraelski nie podjął na własną rękę żadnych kroków odwetowych, wskutek nacisków Jamesa Bakera, który zapewniał, że całą robotę wykonają siły antyirackiej koalicji. Amerykański sekretarz stanu nie dotrzymał obietnicy. Ale – jak często powtarzała sobie Hannah – Baker nie stracił przecież w ciągu jednej nocy całej swojej rodziny.

W dniu kiedy wypisano ją ze szpitala, złożyła podanie o przyjęcie do Mossadu. Odprawiono ją z kwitkiem, zakładając, że po pewnym czasie zabliznią się jej psychiczne rany. Ale Hannah odwiedzała siedzibę Mossadu codziennie przez dwa tygodnie i w końcu musieli przyznać, że rany nie tylko się nie zagoiły, ale wciąż się jątrzą.

W trzecim tygodniu przyjęli ją niechętnie na wstępny kurs, przekonani, że nie wytrzyma dłużej niż kilka dni i rychło powróci do kariery modelki. Pomylili się po raz drugi. Żądza odwetu stanowiła dla Hannah Kopec bodziec daleko silniejszy od ambicji. Przez następne dwanaście miesięcy zaczynała ćwiczyć przed świtem, kończyła długo po zachodzie słońca, jadła rzeczy, którymi wzgardziłby włóczęga, i zapomniała, jak śpi się na materacu. Próbowali wszystkiego, żeby ją złamać, ale się im nie udało. Oczarowani jej wdzięczną figurą i ponętym wyglądem instruktorzy traktowali ją z początku ulgowo – aż jeden z nich wyszedł z treningu ze złamaną nogą. Po prostu nie wierzył, że Hannah potrafi poruszać się tak szybko. Mniej zaskakiwała ich jej bystrość podczas zajęć teoretycznych, ale i tu często zapędzała ich w kozi róg.

Teraz przyszło im się z nią zmierzyć na jej własnym gruncie.

Od najmłodszych lat Hannah uważała za rzecz oczywistą, że potrafi mówić kilkoma językami. Urodziła się w Leningradzie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku i kiedy czternaście lat później zmarł jej ojciec, matka natychmiast wystąpiła o zezwolenie na wyjazd do Izraela. Nadciągający od Bałtyku powiew

liberalizmu sprawił, że podanie rozpatrzone zostało pozytywnie.

Rodzina Hannah nie pozostała zbyt długo w kibucu; jej matka, wciąż atrakcyjna, pełna życia kobieta, otrzymała kilka propozycji matrymonialnych, w tym od bogatego wdowca, i jego właśnie zgodziła się poślubić.

Kiedy Hannah, jej siostra Ruth i brat David sprowadzili się do swego nowego domu w eleganckiej dzielnicy Hajfy, odmienił się cały ich świat. Ojczym uwielbiał matkę i zasypywał prezentami swą nową rodzinę.

Po ukończeniu szkoły Hannah złożyła podania do kilku uniwersytetów w Ameryce i Anglii. Miała zamiar studiować języki. Mama nie pochwałała tego, twierdząc, że z taką figurą, wspaniałymi długimi włosami i buzią, która zawracała w głowie mężczyznom od lat siedemnastu do siedemdziesięciu, powinna obrać karierę modelki. Hannah śmiała się, wyjaśniając, że są w życiu ciekawsze rzeczy.

Kilka tygodni później, wracając z rozmowy kwalifikacyjnej w Vasser, Hannah zahaczyła o Paryż, gdzie spędzała wakacje jej rodzina. Miała również zamiar odwiedzić Rzym i Londyn, ale otrzymała tyle zaproszeń od wielbiących jej wdzięki paryżan, że w ciągu trzech tygodni ani na chwilę nie opuściła francuskiej stolicy. Dokładnie w ostatni czwartek ich wspólnych wakacji Agencja Mody Rivoli zaproponowała Hannah kontrakt, którego nie zapewniłby jej żaden uniwersytecki tytuł. Oddała matce bilet powrotny do Tel Awiwu i pozostała w Paryżu, rozpoczynając swą pierwszą w życiu pracę. Jej siostrę Ruth wysłano do szkoły przygotowawczej w Zurychu, a brat David rozpoczął studia w London School of Economics.

W styczniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku wszystkie dzieci powróciły do Izraela, żeby uczcić pięćdziesiąte urodziny matki. Ruth była teraz studentką Slade School of Fine Art; David kończył studia doktoranckie, a Hannah po raz kolejny pojawiła się na okładce „Elle”.

W tym samym czasie Amerykanie gromadzili siły przy granicy kuwejckiej i wielu Izraelczyków niepokoiła perspektywa zbliżającego się zbrojnego konfliktu. Ojczym Hannah zapewniał, że Izrael nie weźmie udziału w wojnie, a poza tym ich dom leży po północnej stronie miasta, nie powinien więc ucierpieć.

Tydzień później, w wieczór pięćdziesiątych urodzin matki, wszyscy zjedli i wypili trochę zbyt dużo, a potem zapadli w trochę zbyt głęboki sen. Obudziwszy się, Hannah stwierdziła, że leży w szpitalnym łóżku. Dopiero po kilku dniach powiedziano jej, że matka, siostra i brat zginęli na miejscu, trafieni przez zabłąkanego scuda, i że oprócz niej ocalał tylko ojczym.

Przez długie tygodnie Hannah leżała w szpitalu, planując zemstę. Kiedy ją w końcu wypisano, ojczym nie krył nadziei, że pasierbica powróci kiedyś do zawodu modelki, zapewnił jednak, że uszanuje każdą jej decyzję.

Hannah zakomunikowała mu, że wstępuje do Mossadu.

Ironia losu sprawiła, że znalazła się na pokładzie samolotu, którym w innych okolicznościach mógł lecieć do London School of Economics jej brat. Była jedną z ośmiu praktykantek, które wysłano do brytyjskiej stolicy na zaawansowany kurs arabskiego. Ukończyła już roczny wieczorowy kurs w Tel Awiwie. Po kolejnych sześciu miesiącach Irakijczycy powinni uwierzyć, że urodziła się w Bagdadzie; może nie zawsze myślała jak Arabka, niemniej posiadała umiejętność myślenia w ich języku.

Kiedy boeing 757 przebił się przez warstwę chmur, Hannah przyjrzała się przez szybę płynącej zakosami Tamizie. Gdy mieszkała we Francji, przylatywała często do Londynu, żeby spędzić poranki na Bond Street albo w Chelsea, popołudnia w Ascot albo Wimbledonie, a wieczory w Covent Garden albo Barbican. Wcale jednak nie cieszyła jej teraz myśl o powrocie do dobrze znanego miasta.

Tym razem jej świat miał się ograniczać do niezbyt znanej katedry londyńskiego uniwersytetu i małego domku z tarasem w dzielnicy o nazwie Chalk Farm.

¹ Andrzej Bartnicki, Krzysztof Michałek, Izabella Rusinowa, Encyklopedia historii Stanów Zjednoczonych Ameryki, Warszawa 1992, s. 67 (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: Honour Among Thieves

Copyright © Jeffrey Archer 1993

All rights reserved

First published 1993 by HarperCollins Publishers

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2012

Copyright © for the Polish translation by Andrzej Szulc 2012

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor tego wydania: Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Zbigniew Mielnik

Wydanie I e-book

(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Złodziejski honor, wyd. IV poprawione, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-085-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Zmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Wykonanie i konwersja do epub

ZAPIS

zapis@data.pl

www.zapis.gda.pl

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Nexto.pl](#).